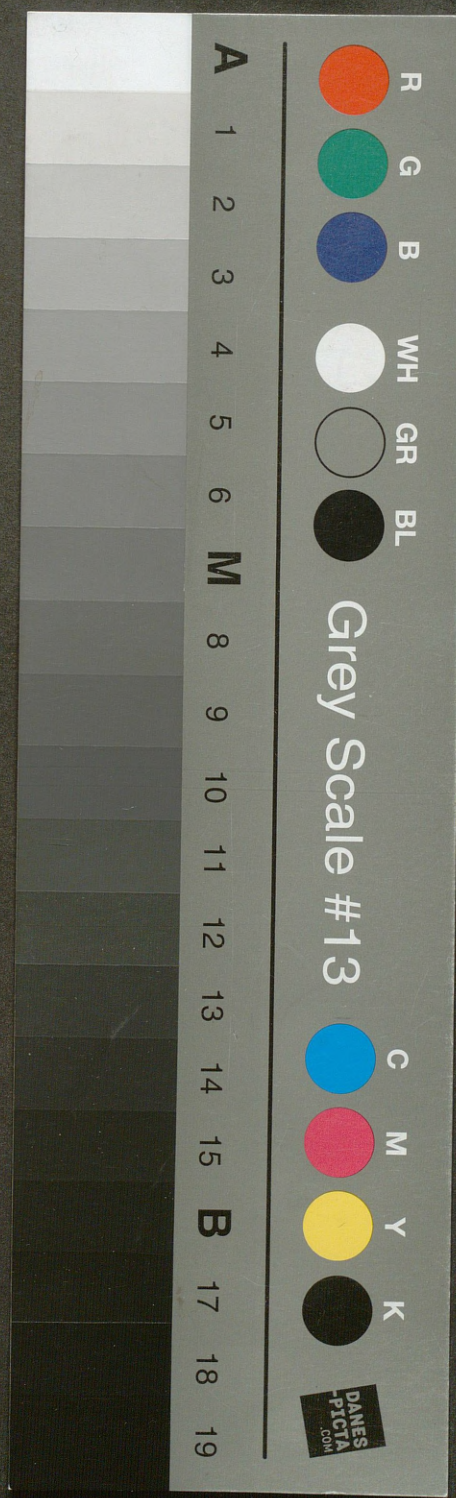


EUGENIUSZ MAŁACZEWSKI

*Blokhaus pod „Syreną”*

★

*Wielka bitwa naradów*



EUGENIUSZ MAŁACZEWSKI

Blokhaus pod „Syreną”

★

Wielka bitwa narodów

T. MAŁ

EUGENIUSZ MAŁACZEWSKI

Inwentaryzacja  
1954

T	WOJSKO POLSKIE
	Sztab Generalny
	Biblioteka służbowa
	Nr <u>7589</u>

BLOKHAUZ

POD „SYRENA”

Inwentaryzacja  
*[Signature]*

★

WIELKA BITWA

NARODÓW

~~WOJSKO POLSKIE  
Sztab Generalny  
Biblioteka  
Nr 16714~~

KSIĄŻNICA DOMU POLSKIEGO

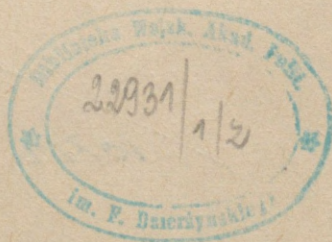
Brema

Hamburg

Lubeka

284-3

K S I A ˙ Z N I C A D O M U P O L S K I E G O  
pod redakcją Eryka Zielińskiego



1946

Printing in Hamburg/Germany by H. O. Persiehl

## BLOKHAUZ POD SYRENA

W roku Pańskim 1918 stało się, iż na „czerwoną” Rosję ruszyła sprzymierzona z nią niegdyś Wielka Koalicja. Przed dwudziestu kilku laty Rosja robiła najazd na boksyerskie Chiny z tą samą Koalicją. Ale w historii fortuna toczy się kołem zmiennym.

Na pobrzeżu Murmańskim i w porcie Archangielska wyla dowoływały się okręty, powiewające banderą Wielkiej Brytanii. W ponure ujście Dźwiny Północnej wgrzązał kolos pancernego krążownika, niby żelazna wyspa pływająca. Na brzeg sypnęła się cizba zbrojnych ludzi w mundurach zielonych i błękitnych, szarych i zielonawo-żółtych. Po ziemi zamordowanego cara deptali Anglicy i Francuzi, Włosi i Amerykanie. Nie brakło walecznych Serbów, którzy dla swej Ojczyzny bohaterskiej wysługiwali się tu handlarskiej Anglii. Była również garstka oberwańców, pyszna ze swej nędzy i bezpańskości. Składała się ze szlachetnych awanturników i tułaczy zajadłych. W obliczu wroga robili oni bronią chwyty, jak na paradzie, a wśród tundry podbiegunowej co wieczora śpiewali głębokim głosem smętną w swej śpiewnej powadze „Rotę”.

W pierwszych miesiącach wyprawy Francuzi i Serbowie, łącznie z tą garstką Polaków, walcząc i przeciw 10, zdobyli na bolszewikach kilkaset kilometrów ziemi w głąb dziewiczych borów i odwiecznych bagien. W tym czasie Anglicy urządzali na tyłach wielkie składy, zwożąc całymi okrętami żywność, zakonserwowaną w blaszankach, pomalowanych na wszystkie kolory. Włosi tych składów pilnowali.

Gdy w ciągłym natarciu bataliony francuskie i serbskie zdarły się, jak długo niereparowany but, ofensywa utknęła w miejscu; znużonych zastąpiono batalionami szkockimi i wojskiem amerykańskim. Co do Polaków, to wycofywać ich nie miał zamiaru nikt. Bo po pierwsze: Polak w ogóle nie ma się

nużyć; po wtóre—o krzywdę polską nie istniejące jeszcze Państwo upomnieć się nie mogło; po trzecie — owi Polacy byli wprost niezastąpieni: znali język tubylców, na wywiad zapuszczali się w bagna jak diabły za całą armię i nie zdradzali sprzymierzeńców, czego nie można było powiedzieć o współdziałającej z Koalicją „białej gwardii“ rosyjskiej.

Anglicy, jak bociany, przyszcudłowali po bagnach na front, zajęli zdobyte już obszary i „nastąpiła“ tam Anglia. Rozległa się angielska komenda: wojacy na warcie stali, a raczej siedzieli z fajką w zębach, czytając Times'a: noga co krok potykała się o blaszanki po zjedzonych konserwach, w których mądrość brytyjska zamarynowała w glicerynie i occie to wszystko dla swej armii, co na świecie da się wypić i zjeść. A więc: od mięs z afrykańskich małp i kangurów Australii \*) aż do kompotów z brzoskwini kalifornijskiej.

I sama wojna przeinaczyła się na wojnę specyficzną angielską. Straciła francuską brawadę, serbską zaciekłość i polską furję, za to stała się rozważną, namysławiającą się i nieskwapliwą. Nieskwapliwą, jak maszerujący Szkot, który robi dziennie nie więcej nad 10 kilometrów, o ile nie porusza się autobylem lub pociągiem.

Zresztą nie było już po co się śpieszyć. Pod osłoną angielskiego bagnetu stał dziewiczy las budowlany, zajmujący obszar do 250.000 km kw. Wpierw należało wyciąć tyle jodeł wiekowych i spławić je morzem do New-Castle'u, a potem już myśleć o dalszych sukcesach wojennych. Zasię na teraz trzeba było zdobyte bogactwo trzymać w ręku i — utrzymać. Tedy wyprawa militarna weszła w okres t. zw. wojny kolonialnej, w której to wojnie Anglicy osiągnęli rutynę mądrą i jedyną w swoim rodzaju. Afganistan czy Rosja, mniejsza o to, tu i tam jednakowa Azja. Jenerałów angielskich doświadczenie poucza, że w zawojowanym kraju dzikich ludzi buduje się małe fortece, t. zw. blokhausy, osadza się tam Szkotów wraz ze stosem małych konserw, odrutowuje się to wszystko kolczastym drutem i — czeka. Czas to najlepszy zdobywca. Hindus czy Kurd, Papuanin czy ot, Moskal, w końcu ucywilizuje się i na widok butli z whiską wiernopoddaniego zegnije grzbiet. A wtedy Anglia „nastąpi“ już ostatecznie i Armia Zbawienia zluzuje armię wojenną.

\*) Autentyczne.

Zatem i tu zabrano się do budowania blokhauzów, tym bardziej, że nadchodziła sroga zima polarna z mrozami do 45° R.

Na owym odcinku angielskim Polacy posiadali osobny pododcinek bojowy. Stosownie do rozkazu mieli oni wystawić dla siebie fortalicję swoją głową i, że tak powiem, sumptem własnym. Bo na ten cel prócz siekier, gwoździ i szpuli drutu kolczastego, nie dostali nic.

Do pracy synowie Albionu zabrali się po angielsku; Polacy uwzięli się na nią po polsku, chociaż na razie bynajmniej się tak nie zdawało. Bo i żołnierz był różny.

Bataliony szkockie (nawerbowane zresztą wyłącznie wśród londyńskiej nędzy) — jako młoda armia lądowa, złożona z niezaradnych mieszczuchów — przystąpiła do rzeczy z dziwnym nabożeństwem. Pseudoszkoci zdobyli się wprawdzie na ścięcie kłoców jodlowych i zwleczenie ich do kupy, lecz wpadli potem w głęboką angielską zadumę. Usiedli na zgromadzonym drzewie i zakurzyli fajki, nie wiedząc, z jakiej strony ugryźć stężale od mrozu na miedź bierwiona, aby się wybudował tradycyjny blokhauz.

Oddziałek polski — jak ów kot Kiplinga, co to chodzi zawsze swojemi drogami — i w tym wypadku poszedł swoją, polską drogą. W rano, przeznaczone do rozpoczęcia robót, na zaśnieżonym placu, gdzie miał stanąć polski blokhauz, do późna nie było żywej duszy. Bowiem wszyscy mieli dużo do roboty gdzie indziej. Jedni wysypiali się snem sprawiedliwych na piętnastu „wyfasowanych“ u Anglików kocach. Inni przegrywali do kolegów rację rumu, nieraz tę, która wypadła do pobrania dopiero za rok. Inni znów, w wiosce, gdzie oddział miał leże, wypacali bohaterską duszę przed samowarem, pijąc dwudziestą szklanekę „czaju“ w towarzystwie brodatych starowierów i hożych starowierowien. Niewiastom nasi chłopcy prawili siarczyste komplementy, za co one grzecznych kawalerów piarszczotliwie kuksały pod żebro bynajmniej nie lekką piastką.

Ale tylko na pozór niby się nic nie robiło, bo jak zobaczymy, zrobiło się więcej i rychlej od pracowitych i myślących Szkotów. Żołnierz, powiedziałem, był od angielskiego różny. Oddział w jednej połowie składał się z wąsatych wiarusów, którzy w ciągu wielkiej wojny kolejno jedli chleb z pieca wielu europejskich armij; zaś w drugiej połowie — ze skautów, mło-

dziaków zapatrzonych w starszych towarzyszu broni, jak w tęczę. Od czasu wojen napoleońskich świat nie widział takiego żołnierza. Oczywiście dowódca tej kochanej bandy musiał górować zaletami wojskowymi nad garścią swych podkomendnych. Górował przede wszystkim pomysłowością. Mawiał, że głowa polska jest od tego, by myślała.

Wytrawny żołnierz, kiedy go przyciśnie potrzeba, umie kopać się w ziemi, jak najpracowitszy kret. Jednak od tej krećcej przyjemności woli naturalniejsze swe zajęcie: leżeć do góry brzuchem i prawić duby smalone, co ślina na język przyniesie. Dowódca szanował to uświęcone przez zwyczaj próżniactwo swych żołnierzy. „Polska głowa“ pomyślała i wymyśliła.

Skutek myślenia był taki. Czterej ex-saperzy (oddziałek miał przedstawicieli wszelkiej broni, od piechoty do lotnictwa) pod wodzą sierżanta Hurmy zostali tego rana wysłani do sąsiedniej wioski. Do sąsiedniej — przez politykę. Tam w sposób trochę za obcesowy zmobilizowali wieśniaków i co młodsze ich połowice. Zmobilizowanym kazano zabrać siekiery i łopaty. Po drodze na plac roboty rozebrano do ostatniego zrębu jedną z wioskowych „bań“, pomimo piskliwego protestu kąpiących się w niej tuziemek. Po czym procesja chłopska, objuczona belkami w ten sposób zdobytymi, pobrnęła przez zasypy śnieżne na linię bojową. I tam dopiero zawrzała robota!

Śnieg spod łopat wyleciał w powietrze, jak puch z rozprutej poduszki; w ślad za śniegiem furknęły czarne grudki zamarzonego bagna. Chłopi pracowali z taką gorączką, jak straż ognio-wa, kiedy umiejscawia pożar. Charakterystyczne nawoływania, którymi oni podjudzali się nawzajem do pośpiechu, to pożarowe wrażeń jeszcze potęgowały. Zresztą pośpiech był tu na miejscu. Bo chociaż czterej kierujący budową „bielyje orły“ zdawali się być w nastroju żartobliwym, to jednak żartobliwość ta wyjawiała się tylko w stosunku do niewiast. Na ogół zaś byli więcej milczący, niż ugrzeczni, a z oczu patrzyło im — na serio. Zanim spadł zmierzch — co w tamtym kraju bywa zimą o pierwszej po południu — na pododcinku polskim stał już blokhaus, jakiego Wielka Brytania ani jej kolonie nie pamiętały od wieków. Budowla, splekacona ziemnym obsypem, wznosiła się jak kurhan, pośród potrójnego pierścienia kółków, gęsto zaprzędzonych wlochątym drutem kolczastym. Z daleka czerniało to na śniegu, jak olbrzymi

opasły pająk, co się rozsiadł i czyha w otoczu grubo zakopconej pajęczyny. Z tego pająka na zimowe powietrze coś ulla-tywało, jak siny oddech. To w blokhausie palił się już piec i dymił, jak komin fabryczny. „Biełyje orły“ smażyli na ognisku upolowaną gęś dziką i również upolowane, ale swojskie prosię. Chłopki, wykańczające wnętrze budowli, przyrządzały dla wojaków nieodzowny czaj. Zjawiła się pękata butla z rumem. Udobruchany pisk kobiecy zawierał w sobie tyle radości życia, przed jej opisaniem łamię pióro.

Tymczasem dowódca frontu, colonel sir John Humbug, brnął po pas w śniegu, wspierając się na nieodłącznym kijku i postępując od reumatyzmu. Szedł na poddoleinek Polaków, aby ich zbeształ. Bowiem doniesiono mu, że Polacy względem ufortyfikowania nic nie robią. Gdy z daleka na śnieżnym polu ujrzał tak wspaniały blokhaus, przypisał go dziełu rąk angielskich. Nawet w Transwaalu, podczas wojny z Burami, takich nie budowano! Więc się uradował, układając sobie w myśli, że oto nareszcie teraz pouczy tych zarozumiałych Polishmenów, którzy w pełnieniu służby zdawali się dotąd nie mieć żadnej pięty achillesowej.

— Może oni są i dobrzy w polu, ale gdy dojdzie do wojny cywilizowanej, to zaraz wyłazi z nich ta słowiańska improduktynność — pomyślał sir Humbug i wetniane jegiery wzdęła mu duma, płynąca z poczucia, że jest synem wielkiej i twórczej rasy Anglosasów.

Sierżant Hurma zobaczył go z dala i w tejże chwili wystawił posterunek, poleciwszy mu zrobić przed colonelem, gdy ten przyjdzie, honory bronią. Sir Humbug, gdy po zbliżeniu się ujrzał, że na czapce żołnierza, prezentującego karabin, świeci się ów jakiś dziwny ptaszek jednogłowy, oczom własnym nie chciał wierzyć. Aż spotniały mu ze zdumienia okulary. Widząc, że nie ma tu cò robić, starannie przetarł szklka, powstał, pomyślał i poszedł do pracujących Anglików.

Jedni z nich szczerbiącymi się siękierami i ślamazarnie ciukali po drzewie zamarzniętym i przez to do urąbania niepodatnym, jak kamień. Inni zgrabiałymi od zimna rękami naciągali kolczasty drut na kołki, co moment wywracające się, bo byle jak wetknięte w grunt. Jednostajne „all right“ rozbrzmiewało jakoś żałośnie. Nieborakom było dotkliwie zimno i strasznie teskno wśród okrutnych śniegów — do łagodnej mgły angielskiej, a wśród tych bagien i borów — do rodzimego

krajobrazu, co wystrzyżony jest i wyszosowany, jak jeden wielki skwer. Smutny widok dawały te dzieci wielkemiejskie, rzucone na pastwę własnej niezaradności. Nadchodził już wieczór. 25-stopniowy mróz tężał jeszcze i niedołącznych budowniczych chwycił za zdrętwiałe palce, jak rozpalonymi obcęgami. A blokhauzy mogły być skończone dopiero kiedyś. Tymczasem placówki musiały spędzić polarną noc na śniegu. W tę noc wielkiej i twórczej rasie robiło się jeszcze smutniej, gdy w polskim blokhauzie widzieli światło i słyszeli stamtąd całogardłowy śpiew, w którym wciąż i wciąż się powtarzał śmieszący angielskie ucho nawrót:

„Hopaj — siupaj — dana!“

W ciągu następnych dni dyżurujący w blokhauzie żołnierze skracali sobie czas, wymyślając coraz to nowe ulepszenia. Każdy coś zmajstrował, wystrugał, wbił swój gwóźdź, odrobił własny kolec. Któryś z legionistów, mistrz od stosowanej sztuki, ozdobił oglądzone heblem ściany wycinkami zakopiańskimi. Inny artysta, upodobań snadź weselszych, podczas długiej nocy służbowej wyrysował kredkami na drzewie ścian takie freski, że gdy je zobaczył komendant, to nie mógł zachować należytej powagi i parsknął śmiechem. Jednak to rysownicze arcydzieło, godne stanąć obok literackich fresków brantômowskich „Żywotów pań swawolnych“, rozkazał komendant wyskrobać niezwłocznie ordynarnym kozikiem. Zaś artysta malował potem freski z rzędu przez trzy dni, ale w kozie. Co tylko udało się gdziekolwiek „zwędzić“, znoszono do blokhauzu dla upiększenia i wygody. Blokhauz stał się umiłowanym dzieckiem oddziału, jego chlubą i dumą. Mawiano: „nasz blokhauz“ i to „nasz“ brzmiało tak wspaniale, jak w ustach Francuza „nasz Verdun“. W końcu gdy już nic więcej do tej doskonałości nie można było dodać, wypłynęło nader poważne zagadnienie: jakim ochrzcić mianem tę groźną fortecę?

Wynikły stąd gorące dyskusje, wobec których błędą spory sejmowej prawicy i lewicy, dyskutujących, na przykład, o parcelacji pańskich gruntów.

W zaciętrzewieniu ogólnym doszło nawet do generalnych bójek. Najpoważniejsza z nich wybuchnęła między żywołem konserwatywnym, proponującym nazwę „Wawel“, a grupą

radykałistów, upierających się przy „Republice”. Drużdy zarzucali pierwszą tendencję monarchiczne, dowodząc, że Wawel był gniazdem tyranów i jest ich sarkofagiem. Na to „monarchiści” odmawiali oponentom czci, wiary i patriotyzmu. Aż komendant oddziału, warszawianin z pochodzenia, znużony sobie te poswarki, w rozkazie dziennym ochrzcił fortalicję „Blokhauszem pod Syreną” i tymże artykułem rozkazu zaproponował odsiadującemu w kozie artyście-wesołkowi, aby wymalował „nie szcędząc talentu” na drewnianej tarczy odpowiednią pół-niewiastę, pół-rybę.

Zdolny synalek Muz z zadania wywiązał się znakomicie. Syrenie wymalował to nawet, czego, jako żywo, nigdy żadna syrena, o ile ufać mitologii szkolnej, nie miała. W dzieło swe włożył tyle zapału, że zimnokrwieści Anglicy, kupą się potem gapiący na tarczę, zawieszoną nade drzwiami polskiego blokhausu, niespokojnie przestępowali z nogi na nogę, a co żywołowszym — ciekła z kątów ust ślina.

Czas płynął jak wartka rzeka. Ani się obejrzano, jak nadszedł 24 grudnia.

W dniu wigilijnym służba w blokhausie wypadła sierżantowi Hurmie z jego sekcją. Sekcja Hurmy w oddziale była znana z przezwiska „sekcji uprzykrzonych inteligentów”. Składała się bowiem z owego mistrza od sztuki stosowanej, malarza od syreny i jeszcze ze czterech skautów, z których: trzej pisywali kilometrowe wiersze, a czwarty — dramaty, niekrótsze od siedmioaktowych. Wszyscy zaś odczytywaniem swych utworów zatruli oddziałowi życie.

O godzinie, wyznaczonej do zmiany załogi blokhausu, Hurma z tą sympatyczną szóstką leguńską wyruszył na linię. Ciągnęli za sobą sanki, naładowane stosem koców i futer, tudzież — jadłem wigilijnym. Na czele pochodu szedł sam pan sierżant, niosąc oburącz z celebracyjną powagą a uwagą potężny gaśńor gliniany, w którym chlupotał rum z miłą wytrawnemu uchu melodyjnością nienapoczętej pełni w naczyniu.

Było polarne południe zimowe. Słońce znajdowało się u szczytu tego małego półkola, które zakreślało się teraz co dnia tuż nad samym horyzontem, zatraconym w śniegach. Dokoła biała pustynia śnieżna. Gdzieś na linii widnokregu bór, malejący wskutek oddalenia, czerniał, jak wąska tasiemka aksamitu. Na dookolnym placu różował i fiolecił się od niskiego światła słonecznego śnieg, gruby na parę łokci. Odcinały się

na nim czarno-zielone wierzchołki świerków, zawianych prawie do szczytu. Tam i sam biegł i krzyżował się wklęsły ślad stóp ludzi, którzy tędy przebrnęli. Te podwójne łańcuszki podeptań nieskazitelnego śniegu wzbudzały przelotną smętność w refleksyjnych duszach „inteligentnej sekcji”; gdy przeszła, do śladów już istniejących przybyły nowe takie same, ale jeszcze więcej sieroce jakieś.

Za chwilę wojacy uplasowali się w blokhausie i ogarnął ich zadumany smutek, mający w sobie coś uroczystego. Przecież była dziś Wigilia. Myśli z niesfornych głów pomknęły daleko, daleko przez zaśnieżony obszar tysięcy mil, jak jaskółki rozświegotane tkliwie. W dniu powszednim mieli czas zajęty ciężką służbą lub beztróskim próżniactwem żołnierskim i nie zabijali sobie głowy byle czym. Wieści o kraju brakło. W listopadzie dowiedzieli się wprawdzie z komunikatów angielskich, że Niemcy wojnę przegrali, ale o Polsce nie było nic. Co więcej chodziły bajedy o wielkiej anarchii i głodzie w kraju. Więc chłopcy ścisnęli zęby na łacniejsze wytrwanie, splunęli w garść, aby lepiej wyobrazić karabinem, i robili dalej to, co dobremu żołnierzowi przystoi: nie mędrkować, lecz strzelać i kłuć, kogo rozkażą. Czasami wydawało się im, że zaborczości angielskiej wysługują się po próżnicy. Hurma, były żołnierz pruski, pouczał swoją „inteligencję”, gdy się ta rozpolitykowała:

— Co za austriackie gadanie. Przychodzi komando baczość, to jest baczość. Od myślenia — komendant, a ty — zębyś nie myślał a słuchał. Jak to skapujesz tym swoim jenteligentnym łbem, to powiem, żeś nie rekrut, a żołnierz całą gębą.

Należy zaznaczyć, że „rekruty”, również jak ich sierżant, byli wszyscy udekorowani najwyższym stopniem angielskiego „military medal'u” nie mówiąc o „mentolach” austriackich, którymi się nie chwaloło, bo uchodziło to za zły ton. Lecz Hurma miał swe własne pojęcie o wojskowości.

Teraz, gdy miny jego podkomendnych wyglądały poważniej, niż zwykle, odbijał od nich chłopskim humorem i tą podufałością w sobie, która cechuje starych żołnierzy. Gdy inteligenci pod wpływem chwili tradycyjnej pograżyli się w cichym rozręsknieniu, czynna natura Hurmy wyjawiała się w innym kierunku. Hurma rozumował: przychodzi Wigilia, to jest Wigilia i zachować ją trzeba, jak należy. Więc wszystko ma

się odbyć pod biegunem, tak samo jak pod Inowrocławiem jak u polskiego chłopca odbywało się od wieków.

Tędy zabrał się do rozładowania przywiezionych sań. Sam pracował, inteligentów poganiał. Rozkazy wygrzmiewał, jak kapitan statku, mówiący z tuby żeglarskiej. A urządzenie blokhausu na święto odprawował z taką powagą a godnością, jak co najmniej komendant flagmańskiego pancernika, gdy rzuca ze swego pomostu krótkie zlecenia, w lot przez majtków wykonywane.

Wnet stół nakryto sztuką namiotu. Nie omieszkanio pod improwizowany obrus nasłać siana. W kącie lokalu ustawiono snopek żytniej słomy, zdradzający jednak, że go wydarto po barbarzyńsku z nowego podszycia cudzej strzechy. Na okrytym stole porządnie rozłożono pożyczone od tubylców talerze i sztućce. Trochę tylko dziwnie wyglądał ten wigilijny stół polskiego żołnierza: w pośrodku nakryć stał kulomiot na sprytnie rozstawionych nóżkach rusztowania firmy Wickers et C<sup>o</sup>, niby potworny konik polny, wysuwający na dwór przez strzelnicę jadowity pyszczek lufy z muszką na końcu. Z boku trajkotliwego owadu zwieszała się, niby pięknie fryzowany pas, wstęga nabojów, lśniąca niklem i mosiądzem.

Po dokonaniu tych urządzeń, Hurma zlustrował rzecz jednym rzutem oka i coś takiego sobie przypomniał, aż się ręką w czoło uderzył. Poszedł do wioski, poleciwszy na odchodem, aby czekano go z wieczszą, a on "przed pierwszą gwiazdą" wróci.

O zmierzchu powrócił, niosąc pieczołowicie pod pachą coś zawiniętego w ręcznik.

— Te, inteligent, rozstąp się, kiej sierżant idzie! — upominał malarza od Syreny, robiącego na progu fachowe spostrzeżenia co do gam fioletu, który wieczorem zakwitł na śniegu długimi strugami, jak grządkki astrów barwy lila.

Hurma, przystąpiwszy do stołu, jął odwijać owo coś. Oczom zaciekawionych żołnierzy ukazał się omszały starością obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, zatulonej z Dzieciątkiem w metalowe „rize“ w stylu bizantyjskiego prawosławia. Lecz podwójna blizna, wymalowana na Jej obliczu, świadczyła o przynależności do innego Kościoła.

— Wzionem to u popa tych brodaczków! — pojaśniał Hurma. — Gadają, że święty jakis się obraz i cuda rozliczne okazywał.

Hale! Jeszcze by cudów nie było — toż nasza polska Matka Boska.

— Pan sierżant, widzę, chce w blokhausie mieć kaplicę gdzie byśmy godzinki przez noc śpiewali — ozwał się z przekąsem malarz od Syreny, którego dotknęło owo „rozstąp się“.

— Nie wiesz zgola, co gadasz, panie malijarz — odrzekł Hurma. — Ot byś świętych malował, zamiast smarować po ścianach te golaski, na które janglik zęby szczyrzy i poślinia się, a grzeszny katolik, gdy je uźrzy, to drepta w miejscu, jak cietrzew w zalotach.

— To się rozumie, — dodał — że jutro obraz odniosę, bo byście go strefili waszym tureckim gadaniem. Ale wy, rekruty, nie wiecie tego, co wiem ja. Bo, choćemta w akademijach waszych nie uczony, ale swoje pomiarkowanie mam. Jeszcze, kaj się uczyłem na księżce, w szkole we Wrześni — ojcowizna tam moja — tom się dowiedział, że dawnym czasem polskie wojsko na swoich chorągwiach miało obraz Częstochowskiej. I przez to samo tłukło szwabów na potęgę. I nie dziw. Nasza Maryja — wojenna to Pani. Popatrz jeden z drugim: po twarzy siabłą je pocięta, jak gemajny, co się do trenu w czas formarszu nie chował. Czy wam opowiadałem, jagem ze szwabskiego regimentu wiał do tych bagnisk przez matuszkę Rosję?

— Opowiadał pan sierżant, opowiadał! — w jednomyślnym pośpiechu zawołali inteligenci.

— To jeszcze raz posłuchajcie. — Złapali mnie, psiawiary, w tej tam ich Moskwie. Po ichniemu nie umiałem ani słowa. Więcem z jejnemi komisarami szwargotał po niemiecku, aby myśleli, że ja rodowity szwab. Komisarze wymiarkowali sobie, że nic, ino muszę być ważny niemiecki szpiegun. Ciągali mnie pod widelcami aż do samego Trockiego, który je obrzezany Żyd i króluję na bardzo fajnym, calusieńko białym burgu, co Kreml się nazywa. Jego żydowski majestat pogadał ze mną i myśli, że szwab. Podaje mi rękę. Kameradem nazywa. Idź, powiada, wolnyś jest! Będziesz robił u siebie na faterlandzie rewolucję. Takich potrza mi więcej, powiada. I do ręki wciska carskie papierki; była tego ładna kupa. Pieniądze wzionem, ale że, kameradem mię nazwał, parch jeden, tom się tak za to obraził, że mu ręki umknąłem, choć mi swoją na do widzenia wyciągał.

— Wiemy już wiemy! — zawołali chórem słuchacze.

— Cichajta, rekruty, kiedy sierżant gada! — zgromił ich Hurma i groźnie poruszył wiechciwiem płowych wąsów. — To wszystko mówię względem Matki Boskiej.

— Jak mnie puścili swobodnie i jeszcze dali na drogę glajt z czerwoną pieczęcią, w której je gwiazda, akuratnie ta sama, co w warszawskich bożnicach na żydowskim ołtarzu, — tom sobie poszedł szpaciren po tym białym burgu, gdzie Żyd Trocki mieszka. Aż tu patrzę — niby kaplica, Moskal, stojący przy drzwiach na warcie, pyta, czy ja chcę do czasowni, tak się u nich kaplica nazywa. Chcę, powiadam. Wchodzę, rozglądam się. Pusto, prócz mnie nikogo nima. Aż, gdy spojrzne do góry — Jezusie, Maryjo! Pod sufitem chorągwie wiszą. A na każdej — nasz biały orzeł z jednej strony płótniska srebrem je frymuśnie wyścibany, a z drugiej — obraz Częstochowskiej. Coś tam jeszcze stało składnie wypisanego, ale nie pamiętam. Aże zatkało mi grdykę. Jak się nie rypnę na kolana! I poczonem się modlić, choć dotela nie byłem w Boga bardzo wierzący. Z niedomkniętych drzwiów ciąg wiatru chodził po kaplicy. I od tego chorągwie szeleściły, akurat jak to one gaworzą z letkim wiaterkiem w procesji na Boże Ciało. A ja słyszał wyraźnie (jakby się mnie przyśniło), co te chorągwie gadały. — „Nie bojąj się ty, sierżancie Hurmo — tak mnie zagadły — gdzie jest Najświętsza Panienska, tam polskiemu żołnierzowi na szyję sznur się nie ukręci!“

— Śmiej się, śmiej, panie malijarzu. A ja, twój sierżant, to ci mówię, że gdybyś nie był po katolicku ochrzczony Polak, to byś w tej zatraconej moskiewszczyźnie zginął, jak mucha w ukropie. Aleś zdrów i cały, ile że cie nasza Orędowniczka Swoją sukienką od złej przygody osłaniała. Bo myśli Ona sobie: „choćta z tego malijarza wielki drań, ale zawsze to Polak i katolickie dziecko“. Lotego ci radze: przestań malować po ścianach gołe zbereżeństwo, a weź się do świętych pańskich.

Wtem posterunek, wystawiony na zewnątrz, doniósł, że na niebie zaślniła już wyczekiwana „pierwsza gwiazda“. Wówczas Hurma wziął ze stołu talerz, w którym były nakruszone białe galety angielskie. Zebrał dokoła siebie podkomendnych, z biskupim majestatem przeżegnał pszenne okruchy i przelał się nimi, jak opłatkiem, ze swoją sekcją. Spowaźnieli wszyscy; nawet malarz od Syreny czynił zadość tradycji z widocznym wzruszeniem. Poczem zasiedli do stołu udekorowa-

nego kulomiotem. Spożyto barszcz z „uszkami“, osobiście ugotowany przez Hurmę. Zabrano się do pieczonych i faszerowanych ryb z gatunków miejscowych. O tych rybach Hurma mawiał, że ani jedna nie nazywa się po ludzku; istotnie nazwy brzmiały po samojedzku.

Za stołem długi czas panowało milczenie. Nie wieczerza to była, lecz raczej msza dusz polskich, w pół tylko obecnych tam, gdzie ciało. Ktoby to widział, nie dostrzegłby nic, prócz pewnego skupienia na twarzach biesiadników. Ale wszystkie piersi rozpierała smętna wielkość roztesknionego tułactwa w imię Tej, co nie zginęła, a zmartwychwstać miała. Można było rzec słowami poety, że ich duch „po słupie jasności księżycowej odchodził na południe...“

Przy którymś daniu Hurma dał hasło do picia, umoczywszy wiechcie wąsów w kubku z rumem. Nastrój od alkoholu się rozchwiał. Rozwiązały się języki. Rozmowa była niejako echem poprzedzającej zadumy.

— Ciekawym, kiedy się to skończy? — zaczął jeden z inteligentów.

— Co niby?

— To taczanie naszymi rękami bolszewików, jak bałwanów po śniegu.

— Miła zabawka. Ale już ręce od niej mdleją. Mogliby nas użyć do poważniejszej roboty. Jechaliśmy przecie do Francji.

— A tu wysługujemy się Anglikom za ten podły rum i marynowaną małpę.

— Dajmy na to — za Polskę.

— Przed stu laty wysługiwali się nasi na San Domingo Francuzom w ten sam deseń.

— A my dziś — Anglikom na Murmanie. Z deszczu pod rynnę. Z pieca na lód.

— Wszystko dla Polski.

— Znamy to „dla Polski“. Tak samo, psiakrew, nabijają nas w karafkę, jak ubóstwiany Napoleon.

— To też zawsze wam mówię, że Polak głupi nawet po szkodzie.

— Swoją drogą czas nam do Francji, do Hallera.

— A czegoś we Francji nie widział. Tam już ludziska pogodzili się, bo za dużo nabili sobie guzów. Tu przynajmniej od czasu do czasu poszczęści się ukatrupić jakiego komunistę, co całemu światu wychodzi na zdrowie, a nam na pożytek duszy.

Na to sierżant Hurma:

— O, do tej Francji, niech ino przyńdzie befel, to w dyrdy pochybam. Mam tam swój jenteres.

— Jaki?

— Pójdę pod ich cholerny Werdun, żeby go siarczyste, najjaśniejsze! I powiem: panowie Francuzy, ta oddajta mnie te trzy paluchy, cośta mnie z lewej łapy utracili, kiedy ja we szwabskim glicie zębami gryz wasz zatracony fort Dumon.

W trakcie gawędy dał się słyszeć z nadworu okrzyk wartownika: "Stój! kto idzie?", potem — chrzęst kroków na śniegu. I do blokhausu wszedł komendant oddziału.

Wyglądał jak człowiek zwariowany, lub w najlepszym razie — spity, jak bela. Na twarzy Hurmy odmalowało się zgorzzenie; bolał go w skrytości każdy nietakt zwierzchników-oficerów. Wprawdzie chodziły między żołnierzami legendy, iż komendant lubi "zalać robaka do poduszki", lecz że nikt w oddziale nie był abstynentem, więc nikogo ta legenda nie gorszyła. Ale obecna pora, nawet przy święcie, była stanowcza zawczesna by wyglądać dotyla zdezelowanym.

Komendant, po przebrnięciu zasp śnieżnych, jakiś czas łapał dech. Gdy jako tako odsapnął, stanął w postawę, która jego podkomendnym była dobrze znana, a zwiastowała dłuższą przemowę. Krasomówstwo było słabą stroną komndanta. W przemówieniach zawsze go ponosił temperament gołowąsego kapitana. Jeśli zaczynał od pochwały, kończył na wymyślaniach, od których uszy wędły. Jeżeli wznosił za czyje zdrowie toast, to wieńczył go tyradą o wiecznym spoczynku. Ten rys charakteru dostał się na języki żołnierskie i szelmowski krytycyzm względem zwierzchników, właściwy polskiemu żołnierzowi, płodził tak bajeczne parodie tych przemowień, że boki zrywano ze śmiechu, aż do nowej okazji.

To też malarz od Syreny, generalny odtwórca mów komendanta, trącił sąsiada pięścią w bok i rzekł:

— Uwaga. Zaraz dogada się do stworzenia świata.

Komendant odchrząknął i otworzył już usta w sposób będący zapowiedzią nie byle jak utoczonego okresu... Wtem — machnął ręką i głęboko wzruszonym głosem zawołał:

— At, co tu gadać! Dajcie, moi chłopcy, lepiej pyska! Tylko co otrzymałem wiadomość: Polska jest wolna i wielka. Wszystko, co wiemy — łgarstwo!

I chwytając żołnierzy po kolei w ramiona, sypał w między chwilach słowami:

— Komendant Piłsudski w Warszawie. — Jest rząd. — Sztubacy porozbrajali Niemców w całej Kongresówce. — Armia maszeruje na Wilno. — Poznań nasz. — Muśnicki grzmoci szwabów. — Polska będzie od morza do morza! — Trzymajcie mnie, bo zwariuję!!!

I zwariował — o ile łyzy, ciurkiem płynące po twarzy żołnierza, są szaleństwem. Za przykładem dowódcy powariowali żołnierze. Szarże w zgromadzeniu znikły. Ściskano się i całowano bez względu na nie. Nie gorszyło to nawet Hurmy, który, cieknąc jak fontanna, wycierał wąsiskami wilgoć z policzków “wielkiego drania malijarza”

I z gardzieli, założonych szlochom szczęścia, wyrwała się — razem u wszystkich — pieśń, zrodzona w godzinie najgłębszej niedoli Narodu. Jej znana melodia jest pośepna, jak psalm nieszpory. Lecz pieśń, oskrzydłona bezdennym zapalem młodych dusz, brzmiała fanfarami, jakich w sobie nie ma nawet płomienna Marsylianka. A słowa:

„Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz!”

rozległy się pełnią takiego triumfu, a zarazem groźby niezłomnej, że zdawało się, iż po nich nastąpi coś wspaniałego, — że tu, w tym blokhausie, stanie się naraz jakiś widomy znak, cud — tyle potęgi ducha zalewało śpiew i — wyszarpnęło się zeń, jak z pochwy wylata nagi, jasny miecz.

W tym śpiewie zbłąkani pod obcy biegun tułacze wołali z całej piersi na cześć Polski, co im przysłała o sobie szczęsną wieść. Tą “Rotą” żołnierze dobrowolni, swej Ojczyźnie urzędowo nie zaprzysiężeni, wszystką duszą zaprzysięgali się teraz Najjaśniejszej Rzeczypospolitej na śmierć, na życie, na dalszy tułaczy los.

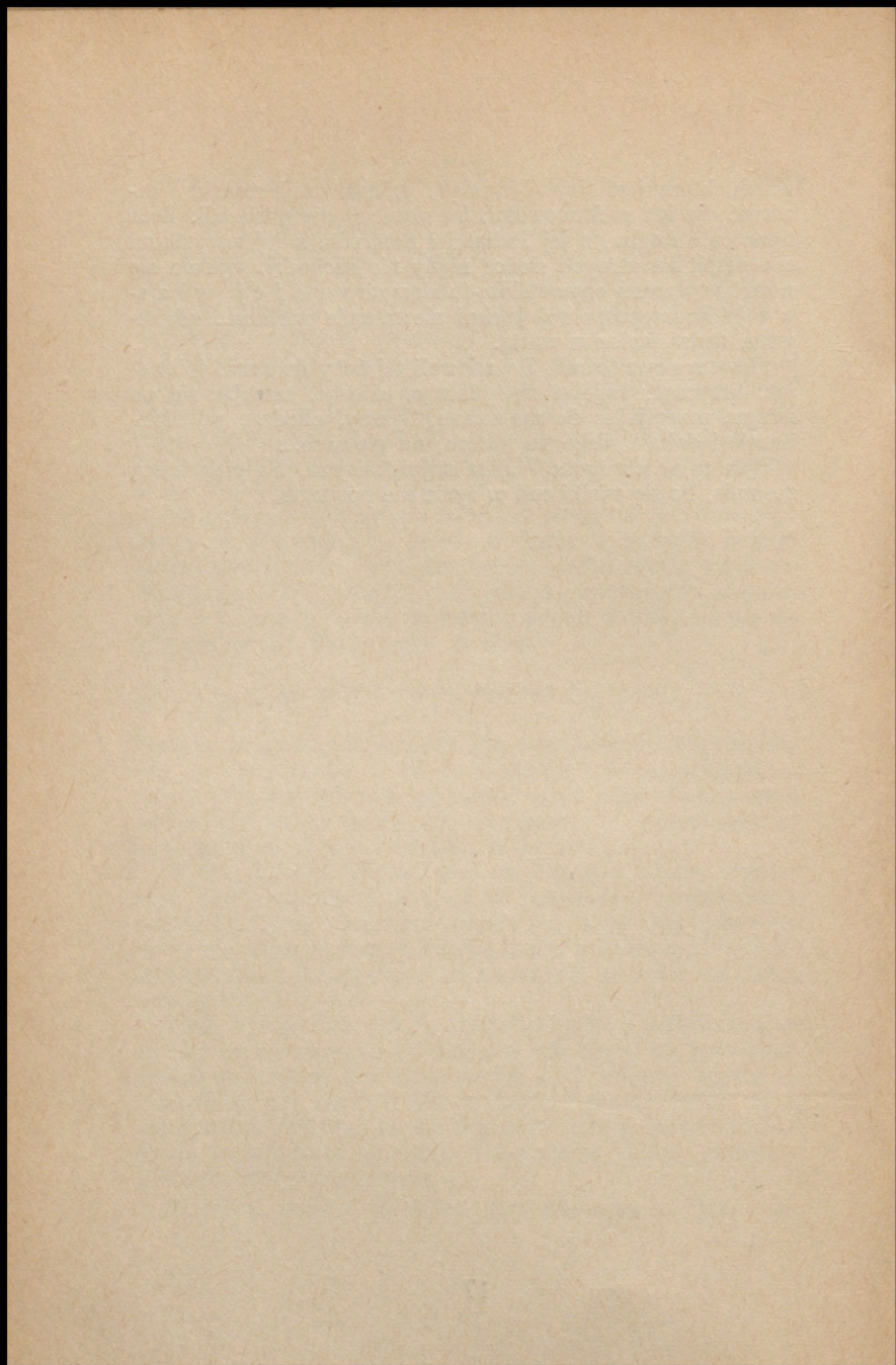
Kiedy byli jeszcze, jak ów bezpański pies, o którego krzywdę nikt się nie upomni, — każdemu, kto chciał ich znieważyć, pokazywali wilcze kły, a na widok ręki, chcącej pogłaskać, pogardliwie się usuwali. Teraz, kiedy było wiadomo, że są żołnierzami Państwa, że nie legionem już są, lecz wojskiem, armią — wypełniły się rogate dusze pychą, dumą, uczuciem, któremu brak wprost nazwy.

Przedtem gardzili możliwymi sprzymierzeńcami, jako woj-

skiem, które jest "cywil-bandą", jednak czuli respekt i za-  
zdrość dla ich państwowości, bo sami jej nie posiadali. Lecz  
teraz cała Anglia, z jej Indiami i Australią, z jej wszystkimi  
oceanami, na których słońce nigdy nie zachodzi, wydała się  
nowokreowanym obywatelom-żołnierzom s w o j e j w ł a s n e j  
Rzeczypospolitej jakimś niezmiernie wielkim... ubóst-  
wem, nędzą śmiechu wartą.

Słowem powariowali. I wariowali tej nocy do rana, śpiewa-  
jąc, krzycząc, śmiejąc się, płacząc, tańcząc, tarzając się po  
śniegu, przepijając do malowanej Syreny, chodząc po blok-  
hauzie i dokoła niego na rękach, na głowach...

Była to w ich życiu Wigilia najpiękniejsza. Najpiękniejszą  
zostanie, bo się wielki cud w życiu nie powtarza.



## WIELKA BITWA NARODÓW

“Wielka bitwa narodów”, zanim szerszą znalazła arenę, rozpoczęła się na pięterku jednej z knajp w pewnym portowym mieście moskiewskim, skąd do koła podbiegunowego tak niedaleko, że po pijanemu a przy odrobinie fantazji tylko sięgnąć po nie ręką, a jest na czym się oprzeć, by nie upaść. Owa instytucja publiczna, po wieczne czasy tą bitwą wstawiona, wyglądała tak: nad wejściem znajdował się sztyld z szafirowej blachy, a na nim — wymalowana żółtą farbą ryba podobna do śledzia, tudzież napis w języku rosyjskim:

*“Pod dochłoj trieskoj. Raspiwoczno i na wynos”.*

Wewnątrz — lokal składał się z dwóch izb, jednej na dole, drugiej na piętrze, dokąd pielgrzymowało się po wątych, kręconych schodach, mało co różnych od zwykłej drabiny i opatrzonych rozchybotaną poręczą. Na górze i na dole stały pod ścianą bufety z przekąskami i beczki z pompą do piwa. Stoły, zasłane lepką ceratą i zasiadziane stołki sosnowe, do koła nich, dopełniały urządzenia.

Pamiętnego wieczora zebranie liczne było, jak zwykle. Obie izby do ostatniego stolika zajęli żołnierze oddziałów, w Rosji Północnej działających przeciw bolszewikom. Drobni Francuzi, o roześmianych zawsze oczach, w mundurze barwy niebieskiej; szcudłowaci Anglicy z końską wygoloną szczęką, o łokciach i kolanach, wysterczających przez zielony, jak trawa, ubiór; Amerykanie, bezceremonialni w obejściu, tędzy chopcy w żółto-zielonych khaki, — wszyscy rozprawiali, usiłując przekrzyczeć jeden drugiego, i rzęli donośnym śmiechem ludzi, którzy są bez troski, bo dziś żyją, a jutro z nich łopian wyrośnie. Nawzajem klepano się przyjaźnie po ramionach i lędźwiach; spełniano zdrowie żywych; pito

za poległych gorzkie, jak piolun, piwo i siwuchę, którą gospodarz knajpy, z obawy przed milicją, podawał w butelkach od lemoniady. Handel szedł na cały regulator. Kelnerki, młode dziewczyny, ubrane niedbale, z rozwianym od pośpiechu włosiem, ledwo że mogły nadążyć na wołania gości. Było widoczne, że kobiety te czują się w swoim żywiole: wszystkich bez różnicy wojowników darzyły jednakowo przymilnym uśmiechem, a Francuzów nie umiejących się z nimi dogadać, jak inni, dlatego tym zabawniejszych w swej niemej przedsiębiorczości, do trzymania przy sobie rąk nie zmuszały.

Ten gwar, w którym mieszały się: wielojęzyczna mowa ludzka, wytryski śmiechu, pisk kelnerek, podskubywanych anonimowo a znieścacka, obfity dym z papierosów i fajek, sinymi welonami snujący się po izbie, ów całokształt hałaśliwego obcowania z sobą ludzi, przygodnie zebranych razem, sprawiał wrażenie, jakie na przykład na kolei wywiera zatłoczona sala trzeciej klasy w chwili nadejścia czterech naraz pociągów.

Mniej więcej około godziny dziewiątej, bo czas już był po apelu wieczornym, otworzyły się z nadworu drzwi i w kłębach pary, wytworzonej od zetknięcia się 30 stopniowego mrozu z dusznym powietrzem izby, weszli dwaj żołnierze. Byli w płaszczach angielskich wprawdzie, lecz ulany z ołowiu orzełek na maciejówce, oraz amarantowe patki na kołnierzu wskazywały, że żołnierze ci nie w angielskiej służą armii.

Byli to: kapral Maciej Hałaburda, rodem spod Kutna, i starszy żołnierz Jan Śmigło, Poznańczyk — obaj z batalionu wojsk polskich.

Z tego sądząc, jak powitał ich gospodarz szynku, i ze sposobu, w jaki dokoła odpowiadano na ich ukłon wojskowy, należeli widocznie do gości honorowych, w sferach zaś wojskowych znano ich szeroko i to znano zaszczytnie.

Nowoprzybyli, którzy salutowali obecnych starannie, z odzieniem pewnej jednak wyższości, nie widząc dla siebie miejsca w izbie dolnej, podążyli na piętro, stąpając krokiem ludzi znających swą wartość i przez to uważających na każdy swój krok.

Na górze sprawili zjawieniem się swoim to samo wrażenie. I zaraz jeden z Anglików, widocznie znajomy, bo się bardzo na ich widok ucieszył, zaprosił ich do swego stołu, przy którym znalazło się jeszcze miejsce. Prócz niego siedział tam

młodzieniec z rudą czupryną, białymi rzęsami, kościsty i kostropaty.

Młodzieniec dość ponuro uściśnął rękę Hałaburdy, a kiedy usiedli, jął się mu przyglądać ze zdecydowaną niechęcią.

Ponieważ zasób wspólnie znanych angielsko-niemiecko-rosyjskich wyrazów i zwrotów wkrótce się wyczerpał i konwersacja utknęła, pozostało świadczenie sobie grzeczności i wzajemny poczęstunek. Uczciwie więc przykładali się do kieliszka, zaglądając jeden drugiemu tkliwie do oczu; Hałaburda — swemu znajomemu Wiliamowi, tak się bowiem do niego zwracał, a Smigło — rudemu młodzieńcowi, którego nazywał Dżekiem. Nie mogąc wylać serca w pogawędce, powtarzali z rozrzwinieniem za każdą kolejką: Polacy ... „Englisch wery gud“, Anglicy zaś — „Polish dobra!“ A chociaż po jakimś czasie kurzyło się im ze łbów, rozeszliby się spokojnie, gdyby nie weszła w rachubę — kobieta.

Helena trojańska wielkiej podbiegunowej waśni synów wojny znajdowała się, a raczej fruwała obok, roznosząc na tacy piwo. Fruwała, mówię, lecz fruwaniem nie tyle przypominała motyla lub błękitnoskrzydłą łatkę, czy inny jaki owad, trzęsący skrzydłem nad łąką poezji, ile upalonego pod jesień jarząbka. Zresztą nie można jej było odmówić pewnego wdzięku. Owszem, wydawała się bardzo nawet ponętną. Zwłaszcza że w mieście, gdzie kwaterował liczny garnizon, jedna młoda kobieta wypadala na dziesięciu mężczyzn. To też fruujący z tacą powód waśni mężów zbrojnych ich oczom zdawał się ponętniejszy dziesięć, niż był w rzeczywistości.

Opisana osoba, skoro dostrzegła amarantowe patki legionistów, stała już przy Haraburdzie i, krygując się z niewymowną zalotnością, zapytała współbiesiadników, czy im czego nie braknie.

— Jak się masz, Anisja? — rzekł Hałaburda.

— Dziękuję, Macieju Bartłomiejowiczu. Waszymi modlitwami! — odpowiedziała, składając ukarminowane usta w ciup — A dlaczego pan zaczyna zapominać o nas? Wczoraj pana znów nie widziałam...

— Miałem służbę.

— A nieprawda. Bo służbę miał pan w „Polarnej Gwieździe“ z Olą Morżową. A ona, podła, wszystko mi opowiedziała, ażeby mię zmartwić. Widzi pan!...

„Gwiazda Polarna“. był to kinematograf, w którym Hała-

burda poprzedniego wieczora ciemność, panującą na sali podczas puszczenia filmu, wyzyskał dla łatwiejszego zdobycia serca przyjaciółki Anisji. Rozmyślał teraz nad przewrotnością kobiet i nie wiedział, co odpowiedzieć. Z zakłopotania wybiła go Anisja:

— Ale dziś odprowadzi mnie pan do domu. Prawda?

Tymczasem rudy Dżek ujął rękę dziewczyny obiema dłońmi i, pociągając ją delikatnie ku sobie, pieszczotliwie powtórzył: „Miss... Miss!” O czym z Hałaburdą mówią, nie rozumiał. Ale serdeczne brzmienie głosu Anisji tłumaczył dla siebie niepomyślnie! Był w niej trochę zakochany. Jako syn narodu pozytywistów, starał się swój ideał pozyskać sobie środkami pozytywnymi i składał mu w ofierze cały „jam”, czekoladę i półporcję z galetów pszennych, jakie dostawał na dzienne wyżywienie. Ograniczał się i w paleniu, bo „Miss” żądała również papierosów. Co do papierosów, podejrzewał, że robi to z namowy Hałaburdy, który je wypala. I miał rację, ale większą, niż przypuszczał. Bo niegodziwy „Polish”, przyzwyczajony mieć za darmo to, za co się płaci, i w dodatku korzystać z drobnych przyjemności, nie tylko puszczał z dymem papierosy Dżeka, lecz zjadał i ów „jam”, i czekoladę. Stad płynęła u Dżeka niechęć do Hałaburdy. A że nie potrafił w tak skomplikowanej materii wypowiedzieć mu, co czuje (raz nagałał mu wprawdzie dużo gorzkich prawd po angielsku, ale Hałaburda dopóty słuchał, aż poklepał go po ramieniu i, śmiejąc się, pokiwał nad nim głową), więc piorunował go spojrzeniami, pełnymi nienawiści.

Tak też patrzył na Hałaburdę teraz. Klipał raz po raz białymi, jak prosięca szczecina, rzęsami, czując, że zazdrość chwytła go za grdykę, bo Anisja ręki z jego dłoni nie odbierała, ale i twarzą, i całą postawą zwracała się do Hałaburdy i w szleszczącym, jak szept ostrzych liści, obcym języku, mówiła doń słowa, wymawiane inaczej niż do innych.

I ten moment jeszcze nie stanął o nielasce. Zrobiła to dopiero czyniona w najlepszych zamiarach polityka niewieścia, która powikłać potrafi współzycie narodów, jak to wiemy z historii.

Anisja przeczuwała, co się dzieje z Dżekiem, i żywiła obawę, że ten zazdrośnik zemści się na nich obojga za ich idylę środkiem prostym, jak angielska logika: ogłosi z desperacji blokadę i zaprzestanie w końcu prowiantować słodkimi da-

rami i paliwem dla Hałaburdy. Postanowiła więc pojednać rywali. I z wdziękiem, na jaki ją było stać tylko, postawiła przed obydwojma po piwie, sama wzięła trzecią szklankę i uśmiechem, kiwaniem roztrzepanej główki, gestami ręki zachęciła, by potracili szkłem na zgodę. Hałaburda, chłop w myśleniu lotny, zrozumiał politykę dziewczyny, pochwalił rzecz porozumiewawczym mrugnięciem i rękę z piwem wyciągnął do Dżeka.

Anglik jeszcze prędzej zaklipał prosięcymi rzęsami, wydał nosem dźwięk, jaki wydaje niezadowolone cięło, i zastanowił się. Wreszcie zrobił dłonią ruch odpychający i krótko rzekł:

— No.

Przy stole zapanowała konsternacja. Hałaburda powoli, powoli podniósł się i przechylił przez stół. Twarz Anisji rozbliła nagłym wewnętrznym blaskiem i zgasła. Zmalałymi naraz żrenicami, które przybrały wyraz jakiś inny, jakby nie ludzki, obserwowała obu uważnie.

Wiliam coś perswadował Dżekowi. Ten nie zgadzał się, co chwila wskazując oczyma na przechylonego groźnie przez stół Hałaburdę. Sprzeczali się dość długo. Powolne tempo angielskiej mowy, jej słowa, wypowiedane jakby z wysiłkiem, dały Śmigle sposobność do uwagi:

— Maciuś, napchnij pełniuską gębę gorącą pyrką, obracaj ozorem, jak te heretyki, to se fajnie z nimi dogodosz...

Maciuś błysnął gniewnie okiem i, w szewskiej pasji, wykrztusił ogłuchłym głosem do Dżeka po polsku:

— Te, Anglik.. mówię ci, ruda małpo, napij się ze mną po dobroci, pokiel czas... bo jak nie — to zdieję!

Śmigło śmiechem parsknął z wielkiej uciechy. Dżek zaś i w tym parsknięciu, i w słowach obcej mowy wyrozumiał jakąś obelgę straszną i, nie panując nad sobą, wyciągniętą ku niemu rękę z pełną szklanką — odtrącił. Piwo bluznęło na czeratę i ciurkiem poczęło z niej skapywać. Hałaburda wyprostował się i przymrużył powieki.

— Loboga, Maciuś! — krzyknął Śmigło. — Ratuń polski hunor! Wyrźnij w ten zakuty jangielski łeb!

Hałaburda spojrział na Śmigło, spojrział na Dżeka, stęknął, jakby miał cepem uderzyć, i — wyrznął.

Anisja wrzasnęła „Ajaj!“ i rozpoczęła się wielka bitwa narodów.

Obaj Anglicy zdębieli. Koledzy ich, znajdujący się na sali,

przewracając stołki, śpieszyli już ku nim, bez słowa, lecz z zamiarem, wyraźnie wypisanym na twarzy. Amerykanie dołożyli tytoniu do fajek i pozostali na miejscach w oczekiwaniu wypadków. Anisja, oparta o ścianę, spoglądała na to wszystko, nieco blada, z nozdrzami rozduętymi od wzruszenia.

Nigdy sprawa polska nie wyglądała marniej. Przeciw Maciusiowi i Śmigle sunęło dwudziestu dwóch Wiliamów i Dżeków, zakasując do boksu zyłaste ręce. Nagła cisza na piętrze uderzyła hałasujących na dole. Zamilkła cała knajpa, tak że począł z ulicy dolatywać aż tu melodyjny dźwięk „bubienczyków” od sanek i pogwar miasta.

Maciś ponuro obejrzał sunących nań murem synów Albionu, wytrawnym okiem oszacował sytuację i, jako szarżę od Śmigły starszy, skomenderował mu:

— Łam stołek!

W okamgnieniu ze stojącego obok sprzętu wylał każdy po kanciastej nodze i przybrał postawę do ataku. I znów padła komenda Maciusiowa:

— Naprzód!

A potem — nieludzki zgoła wrzask obu:

— Bij takich synów!...

I, dodawszy sobie serca tym okrzykiem, do zwycięstw prowadzącym armie polskie od grunwaldzkiej potrzeby aż do dziś, — runęli na żywy mur ludzki ze wzniesionymi od ciosu maczugami, ignorując w ten sposób i europejski boks, i uświęcone wiekami istnienia Wielkiej Brytanii kunsztu tego tradycje.

Zakotłowało się na sali od tupotu podbitych gwoździami ciężkich butów, zaśmigalo od razów. Nie wiadomo wszakże, jaki by sprawa wzięła obrót. Czyby zwyciężyli nasi chłopcy, czyby też padli z honorem — jeśli by w grę nie weszły „czynniki nieprzewidziane”. Jakkolwiek inicjatywę walki chwycił w swoje ręce ten, który natrze wpierw, jednakże w danym wypadku ta przewaga zdała się nie na wiele. Zaatakowane indywidualia były zaprawione do walki wręcz, stosunek zaś dwóch do dwudziestu dwóch wojowniczego krzepił w nich ducha.

I tu właśnie wielka dusza „starszej siostrzycy naszej Francji” ujawniła się w całej wspaniałości.

„Czynniki nieprzewidziane”, pięciu drobnych wzrostem szaserów francuskich przyglądało się spoza pleców Maciusia tej całej awanturze. W jej początkach było im nieśpieszno do wkładania palców między cudze drzwi. Zrazu bowiem oble-

ciało ich uczucie, które przez kurtuazję dla zaprzyjaźnionej z nami Rzeczypospolitej nazwę ogłędniejszym mianem r o z w a g i, też bardzo cennej cnoty wojskowej.

Gdy jednak ujrzeli tak bohaterskie natarcie, zagrał w nich temperament południowców (pochodzili wszyscy z Marsylii, ojczyzny płomiennej Marsylianki). Prócz tego przypomnieli sobie, jak z tymi dwoma zwariowanymi polonezami pili przedwczoraj, aż do utraty pamięci, by uczcić „maréchała” Poniatowskiego, poległego za Francję. Ale najwięcej do udziału w batalii sprowokowała ich owa dziedziczna do Anglików niechęć, dymiąca się ze stosu Joanny d’Arc i przez waterlooskie pole ścielącą się aż na słynną w tej wojnie „linię Hindenburga”, gdzie Francuzi ginęli w atakach uplanowanych wspólnie z Anglikami, gdy ci ostatni skrobali się brzytwą pod nosem, bo nie było im pilno.

Zmiarkowali to wszystko i razem, jak na komendę, wielkim głosem, niby pięć galijskich kogutów do chóru, gdaknęli:  
— En avant!!!

Anglicy zdębieli po raz wtóry, tym razem wszyscy. I ta jedna chwila zdębiecia skutki miała fatalne. Wspólnie nacierający Polacy i Francuzi dwoili się, troili wprost w czynnie walecznym. Tumult stał się jeszcze większy, bo dotychczas siepano się milczkiem, postępując jeno, jak przy rzetelnej młócce, a teraz chóralnie „Vive la Pologne!” i polskie: „Wiwłafrans!“. Po rycersku sobie poczynali, więc i byli względem siebie rycerscy.

I stała się rzecz niewytłumaczona — przynajmniej dla tych, którzy gromadzili się przy owych kręconych schodach na dole i z najwyższym zajęciem słuchali hałasów, dochodzących z góry. Oto nagle zbiegł stamtąd czerwony spotniały Anglik bez czapki, z odpiętymi naramiennikami, podobnymi przez to do podrygujących skrzydełek. Upadł przed gapiami na kolana, porwał się z klęczek; na pytanie, co jest, machnął beznadziejnie ręką i uciekł na ulicę. Za nim — drugi, trzeci, czwarty, aż do ostatniego. Niektórzy zjeżdżali głową na dół, piersią po schodach, a ich łokcie i kolana, zaczepiając się po kolei o 47 deszczułkowych stopni, wybębniały na nich jakoby długą gamę, z jednostajnego trylu się składającą. Inni podróżowali siedząc; ci mieli zapewne złudzenie, iż zażywają jazdy w jakim Luna Parku po „diabelskiej” drabinie kołującej. Wyraz oblicza wojowników staczających się bez żadnej przerwy,

jeden po drugim, był dostatecznie oglupiały, a czasem do takiego stopnia wprost głupi, iż zebrani koło schodów każdego witali szalonym wybuchem śmiechu. Ostatni zsunął się rudy Dżek, a raczej zleciał, koziołkując przez miedzianowłosą głowę, z rozwartą paszczą na podobieństwo ryby, wyrzuconej z niewodu. A skoro znalazł się na dole — jednym susem wyskoczył na ulicę. Bo też i czasu do stracenia nie miał. Nadeptywali mu na pięty zbrojni nogami od stołków Maciuś ze Śmigłą i pięciu niebieskich Francuzów, wszyscy w natchnionym rozwichrzeniu głów, w wiatrakowym rozlataniu rąk, zlni potem, ochrypli, ale ryczący głosem strasznym: „Naprzód!“ i „En avant!“ I wytoczyli się na ulicę, jak burza, w pościgu za uciekającymi.

Tam Anglicy czekali ich już. Jedni formowali tyralierę. Rozważniejsi zbroili się, łamiąc gwałtownie pobliskie sztachety, gdyż przekonali się na własnej obitej skórze, jak decydującym czynnikiem w wojnie jest przede wszystkim techniczna jej strona: broń lepsza lub gorsza od broni nieprzyjaciela. Hałaburda swoją armię również uszykował do boju i chciano się już prać w dalszym ciągu.

Jakiby to wszystko miało koniec — homerowska wyobraźnia, nawet wyobraźnia, powiedziałyby: p a s — gdyby znowu nie coś zgoła nieprzewidzianego.

Oto w zaśniewanej po okna domów ulicy zaczerniał patrol, mniej więcej z ludzi dwudziestu, ubranych po marynarzku, zbrojnych w karabinki bez bagnetów. Podeszli bliżej i przywódca ich zawołał:

— Ej tam, smirrnaaa! Katoryje tut palaki — wychadi!...

Był to patrolujący miasto oddział marynarzy moskiewskich, którzy, zdradziwszy ogłodzonych bolszewików, wysługiwali się nowopowstałemu Rządowi Rosji Północnej za angielski żold i nieodzowny „jam“. Gospodarz knajpy doniósł im o awanturze, a że komendant patrolu miał z Hałaburdą o tę samą Anisję osobiste porachunki, więc przymaszerowali pośpiesznie.

„Palaki“ nie mieli wygodnej racji przyznawać się do obecności; wskutek tego marynarz zawołał ponownie:

— Katoryj tut Gałaburda? Skazano tiebie — wychadi. Iszty jewo — złowriednyj lach...

Naraz mu się wydało, że „złowriednyj lach“ jest tuż koło niego. Pomyłki winien był pewien Anglik, z tęgiej figury i spo-

sobu noszenia się podobny do Maciusia. Mundur na obu jednakowy czynił po nocy podobieństwo w pierwszej chwili nie do odróżnienia. Uradowany Moskal ułapił ofiarę swej pomyłki za kołnierz i, by dokładniej przekonać się o tożsamości osoby, pociągnął ją, pomimo oporu, pod gazową latarnię.

Jak się rzekło wyżej, Hałaburda był to w myśleniu chłop lotny. W lot więc rozważył nową sytuację i zrozumiał jedno: wobec obrazy Anglika, należy wplątać wszystkich do bójki z Moskałami. Jak się dobrze uda, to za jednym zamachem da się nauczkę i Moskałom, a „jak będzie z tego guzik (myślał Maciuś) no... to się przezpiecznie da nura, a durnie niech sobie potem łby porozwalają“. I w nagłym natchnieniu rzucił się naprzód (zbyttnio się jednak nie zapalaşzowując) i krzyknął głosem okropnym:

— England forward!!!

Aż się przeraził skutku, jaki tym wywołał. Anglicy, powtórzwszy okrzyk, zwartą masą wpadli na patrol, jak jeden mąż. Francuzi, przez właściwą sobie rozagę nie ufając swej dotychczasowej broni, wyłamali dla pewności po sztachecie i ruszyli również. Zasię Hałaburda (który nagle zmienił pierwotny zamiar wycofania się cichaczem) objął nad całą koalicją dowództwo naczelne. „Fosz sobie, a ja sobie“ — przewinęło się mu przez myśl.

Prócz Polaków nikt nie rozumiał, czego żąda komendant patrolu. Widziano tylko fakt: Moskal ułapił za kark żołnierza Wielkiej Brytanii! odważył się na coś tak potwornie zuchwałego. Wprawdzie i on był sojusznikiem, ale właściwie to nie bardzo go odróżniano od bolszewika, przeciw któremu wspólnie z nimi, Anglikami, walczył. Dla nich bo każdy Moskal należał do innej, jak gdyby nie białej rasy. I zadraśnięta do żywego ambicją zdobywców świata, ludzi wielkiej białej rasy, pogodziła ich z niedawnym wrogiem i wszystkich razem popchnęła żywiłowo przeciw wspólnemu niebezpieczeństwu, grożącemu od rasy niższej.

I zanim Moskale, bynajmniej nie chcący zwady z nikim innym, tylko z Polakami, zdążyli połapać się co zaszło, byli już złomotani po łbach „na fest“ (jak opowiadał potem Śmigło). Napad był o tyleż furiacki, o ile niespodziewany. Tego było za wiele dla dzielnych niegdyś pionierów rewolucji i poszli w bezwładną rozsypkę, dodając sił do ucieczki starym jak

Matuszka-Rosja, a w chwili niebezpiecznej wprost niezastąpionym hasłem: „Bratcy, spasajś, kto możet“!

Po chwili zostali na ulicy jedynie zwycięzcy, tudzież dwie czarne figury, pośród porzrzucanych karabinów skulone na śniegu i nieco farbujące krwią jego dziewiczą białość. Zostawieni na placu walki skowycieli z bólu, wydając od czasu do czasu krzyk przeciągły, jak wycie:

— Towariszczci, pomogiitcie!

Zwycięzcy dobrze sobie sprawy nie zdawali, co się stało i jak. Wiedzieli tylko, że byli narażeni na niesłychaną usurpację nietykalności i honoru od tubylców kraju przez się podbitego. I z tej opresji uratował ich ów szalony „Polish”, dla którego teraz mieli za to wdzięczność i podziw oraz podświadomy szacunek, płynący stąd, że i ich samych przedtem tak dzielnie ogrzmocili.

Naradzili się z sobą i po naradzie rudy Dżek podszedł do Hałaburdy, zasalutował, jak się patrzy, i, uprzejmie wskazawszy na drzwi knajpy, rzekł po niemiecku:

— Brüderschaft!

Hałaburda, jako człek polityczny, nie o drażu zechciał zrozumieć, o co chodzi. Dopiero gdy kamraci Dżeka otoczyli tych dwóch i, popychając ich ku sobie, chórem poczęli wołać: „Brüderschaft“ — odsalutował z godnością i rzucił Śmigle:

— Chodź i ty, bracie. Widzi mi się, że bedzie tera okruteczna wstawa i to na ich rachunek.

Triumfalnie poprowadzono pod ręce obu pogodzonych rywali na znane już nam pięterko. Tu rozegrała się scena romantyczna. Anisja, widząc obu swych pretendentów, mniej więcej całych i już pogodzonych, rzuciła się z piskiem najpierw na szyję Hałaburdzie, a potem chciała zawisnąć i na Dżeku. Ale ten, nową przyjaźnią wyleczony ze starej miłości, zagroził się dłonią od dziewczyny, jak przedtem od szklanki z piwem, i rzekł dobitnie:

— No.

Zaczem zsunięto kilka stołów, aby utworzyć jeden duży stół, i pogodzona koalicja, w świetnym humorze, zasiadła, iżby sprawę, oblaną krwią, oblać spirytusem.

Przy pierwszym kieliszku zmuszono Dżeka i Maciusia do kilkakrotnego ucałowania się, po którym nasz bohater, niegdyś krechowiecki ulan, nieznacznie otarł się rękawem i powiedział Śmigle:

— Niech go nie znam: Oślinił mię, jakbym swoją nieboszczkę kobyłę całował.

Przy którejś kolejce Dżek powstał z kieliszkiem w rękę i wygłosił do Hałaburdy po angielsku długą przemowę, którą w pauzach, niekrótkich i bardzo częstych, towarzystwo aprobowało jednogłośnie: „O yes“! Hałaburda, świadomy obyczajów wielkiego świata, słuchał gadaniny stojąc, a w momencie uroczystego podniesienia głosu kiwał głową potakująco i ze zrozumieniem, po skończonej zaś oracji rzekł:

— Aj not kombinejszen.

Krasomówca pomyślał dobrze, jak tu wyklarować rzecz lepiej, naradził się z kolegami, w końcu wznosił ręce uroczysto, jak pastor, i objaśnił:

— Polish dobra!

Poczem w wielkim zadowoleniu pożegnali się i rozeszli śpieszniej, niż się im zdawało, a to z obawy, że zajście z patrolem moskiewskim ściągnie do knajpy inne jakie, wyższej rasy wojsko, które trzeba będzie uszanować, gdyż, wobec ważności misji, może nim dowodzić oficer.

Maciuś ze Śmigłą szli do koszar w milczeniu, pełni wrażeń. Północne czarne niebo ziało przepaścistością i przejmującym do szpiku kości chłodem. Gwiazdy wyiskrzyły się od pierwszej do ostatniej, mrugając i lśniąc wskutek mrozu najnieoczekiwaniejszymi barwami. Na czarnym niebie wyglądały one, jak bisior, rozsypany garściami po żalobnym aksamicie. Z północnego horyzontu wstawiała fosforyczna, chwiejąca się luna: zapowiedź zorzy borealnej. Miasto już spało. I tym donośniej pod stopami żołnierzy skrzypiał śnieg, suchy i zbity, jak krochmal. I śniegu tego wszędy było istne zatrzęsienie: pieniały się nim wszystkie dachy, z których krawędzi zwisłał płachtami jakby piany skamieniałej, okapturzał latarnie i słupki przy chodnikach, i nawarstwiony na gałęziach drzew, wyglądał jak pasma najbielszej waty. Widząc tyle śniegu, wydawało się, że nigdzie nie ma lata, nie ma zieleni, a cała ziemia od bieguna do bieguna jest białą pustynią i zaśnieżonym wyżej okien miastem.

Patrzyli na tę wspaniałą zimę polarną Hałaburda ze Śmigłą i ździebko w sobie się rozmarzyli.

Rozmarzenie zamącił Maciuś:

— Te, Smigło... coś się tak zafrasował? Nie bój się, koza nas nie ominie. Jutro, brachu, do karnego raportu... Oba-

czysz. — A po chwili dodał: — Ale, że pokazaliśmy światu, co jest wart Polak, to pokazali!

— Ja nie o tym — odrzekł Śmigło. — Ino tak miarkuje se, miarkuje i wymiarkować nie moze: niby on i janglik; fabrykuje toto dżem i wiskę; jeździ po wszystkich morzach i nie zabłądzi; water-klojzet, psiojucha, wymyślił — a nijakiego ni-ma ambitu... Kiejby mnie kto gębe tak sprół, jak ty jemu, do skonaniabym takiemu popamiętał. A on: polisz dobra... Aż dziw!

— E, wiadomo: Europejczyki heretyckie. Ale czasami to i pocziwy chłop między nimi się zdarzy. Ot ten...

— Hale! Nic pocziwego nam się tu nie zdarzy — narzekał dalej Śmigło, i wskazawszy na zorzę, szeregiem kolosalnych fal seledynowych zalewającą niebo, rzekł: — Ot, to licho, na przykład. Gdzieindziej jest jak u ludzi, a tu — Bóg wi co. Niby to ma świecić, ale ani świci, ani grzeje, ino psy na tę pierońską jasność wyją. Haj, haj, czas nam już do tej Polski, na Kujawy...

— Sprawiedliwie. Czas bo czas. My tu, za przeproszeniem, kiej nieboskie stworzenia, w błocie wyżej uszu, bijemy się za naszą Polskę kochaną, a te psiekrwie, co siedzą w domu, pańskie gronta podziela se bez nas...

— Fajnie, Maciuś, godosz — odrzekł Śmigło, kładąc rękę na kłamce furtki, prowadzącej do koszar.

Nazajutrz istotnie zawezwano ich obu do raportu. Moskale sprawę wywlekli przed Naczelne Dowództwo, spoczywające w rękach angielskich. Ono zaś wystosowało do Baonu polskiego odpowiedni papier, prosząc o zbadanie i ewentualne ukaranie sprawców wczorajszej awantury.

Dowódca, kapitan Dryl, przy raporcie karnym wjechał naszym bohaterom co się nazywa „na twarz“. Zbeształ, zagroził sądem wojennym i skazał na kożę do odwołania.

W pół godziny po raporcie Halaburda i Śmigło siedzieli w areszcie, nadrabiając wprawdzie miną, ale w duszy czuli wielki niepokój. Nawet przy najlepszym obrocie sprawy mogli utracić zdobyte niełatwo szarże. Już to jedno byłoby ciosem nie do zniesienia: dobry żołnierz zarówno za awans rodzonoego ojca. W ogóle w oświetleniu dziennym sława z wczorajszego wieczora wydała się im dziwnie marną.

Dumali tedy niewesoło i zmartwienie gryzło ich coraz mocniej. Naraz rozwarły się drzwi i wartownik skomenderował

baczność. Wszedł kapitan Dryl i srogo spojrzął na wyprostowanych w strunę więźniów.

— Co ja z wami mam zrobić? — ozwał się po chwili. — Powiedźcie mi. No!

— Nie wiemy, panie kapitanie — gruchnęli jak najpotulniej.

— Ja się was o to nie pytam awanturniki! Czy wiecie, że teraz muszę oczyma świecić za was przed Anglikami?!

Winowajcy tym razem przezornie milczeli.

Kapitan Dryl, jak każdy groźny w słowach człowiek, miał jednak w sobie dużo dobroci i, skoro się z gniewu jako tako wysapał, wnet miękł i zaczynał z innego tonu.

To też Hałaburdzie rozkazał:

— Opowiedz, jak to było.

Ten skromnie odraportował o swych wczorajszych przewagach. Przez naiwne wyrachowanie przemilczał jednak o najświetniejszych epizodach walki.

Gdy skończył, kapitan zmiękł ostatecznie i łaskawszym już głosem burknął:

— Niech was kule biją. Dzielnieście się spisali, nie ma 'col Tytko — tu z namaszczeniem podniósł wskazujący palec — drugim razem nie zhańbić mi imienia polskiego, bo...!

I wyszedł, poleciwszy naczelnikowi warty, aby więźniów uwolnił jutro.

— Rrokaz, panie kapitanie! — wrzasnęli Maciuś i Smigło. — I drugim razem nie poharbimy!

I z wielkiego uradowania, że się wszystko tak dobrze skończyło, ryknął z całej piersi:

„Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród!...”

Aż zaniepokojony tym wartownik począł walić we drzwi kaźni kolbą na przestrozę.

WOJSKO POLSKIE

Sztab Generalny

Biblioteka

Nr 10714



Inwentaryzacja  
1954

WOJSKO POLSKIE  
Sztab Generalny  
Biblioteka służbowa 31  
Nr 7589



22931/  
1/2

KSIĄŻNICA DOMU POLSKIEGO

Jeszcze Polska . . . , wybór wierszy  
Małaczewski Eugeniusz, Blokhaus pod Sy-  
reną \* Wielka bitwa narodów,  
opowiadania

Mickiewicz Adam, Wiersze wybrane  
Modlitwy Wychodźców, wybór wierszy  
Tęsknota za Ojczyzną, wybór wierszy  
Polska w wojnie: gen. M. Kukiel — Sześć  
lat wojny o Niepodległość \* H. Piątkow-  
ski — Wkład Polski do II-ej wojny światowej

Zieliński Eryk, Gromada — to Siła, dro-  
gowskazy

Zieliński Eryk, Świat Janeczki, opowieść  
wychodźcza

Brema

Hamburg

Lubeka